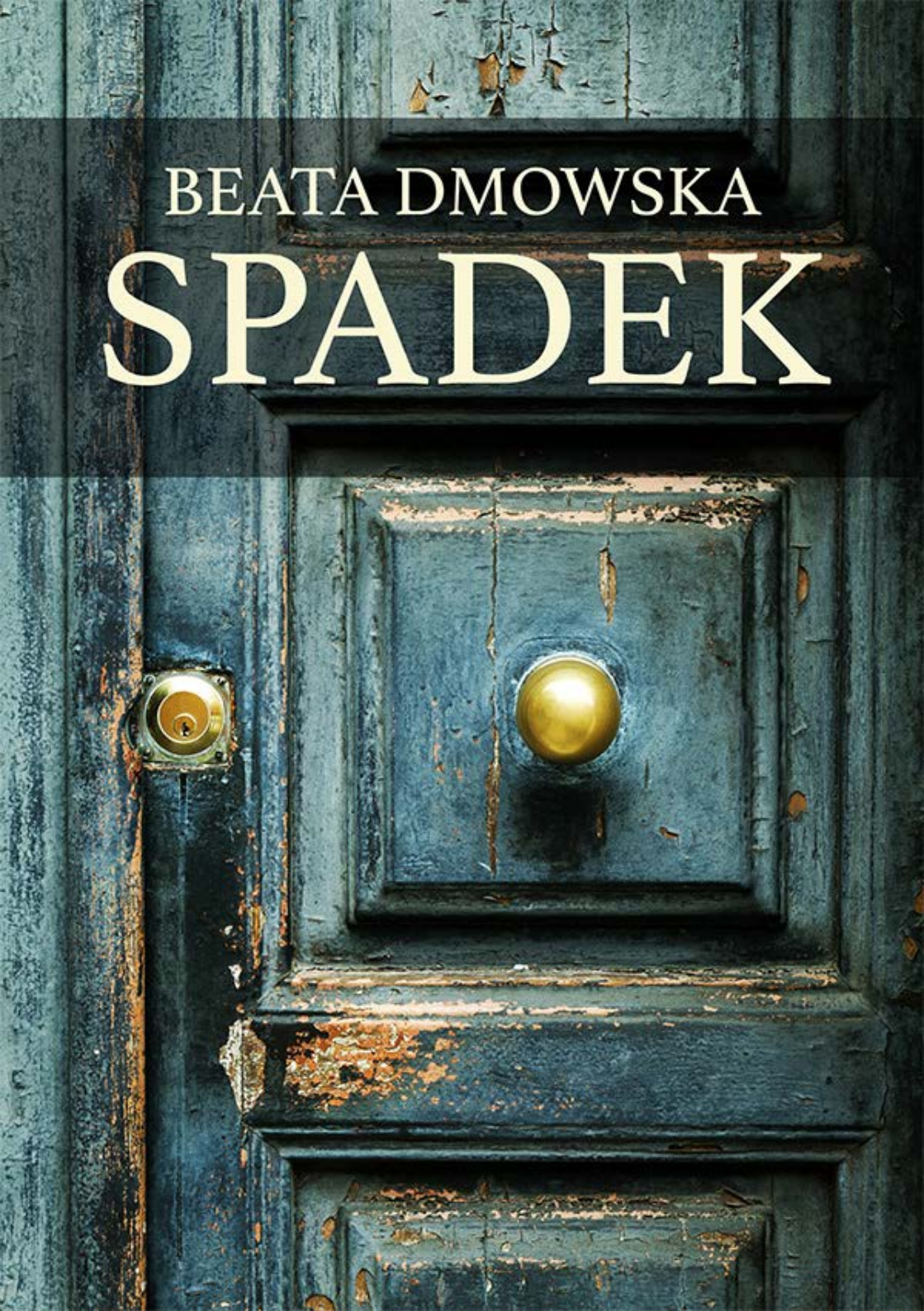

BEATA DMOWSKA
SPADEK

BEATA DMOWSKA

SPADEK

Copyright © Beata Dmowska & e-bookowo

ISBN e-book 978-83-7859-848-0
ISBN druk 978-83-7859-875-6
Rok wydania: 2017

Projekt okładki: Ilona Dobijańska
Tło na okładce: designed by valeria_aksakova / Freepik
Skład: Ilona Dobijańska

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów
w artykułach i recenzjach – możliwe tylko za zgodą wydawcy.

DLA MOJEJ WSPANIAŁEJ RODZINY
Z WYRAZAMI MIŁOŚCI.
KOCHANI, BARDZO WAM
DZIĘKUJĘ ZA WYROZUMIAŁOŚĆ.

Modliłam się głośno, żeby tylko nie utknąć w błocku i moje modlitwy zostały wysłuchane. Szczęśliwie dojechałam na miejsce, gdy zapadł zmrok. Zatrzymałam swoje audi przed bramą Romanówki. Zerwał się ostry, listopadowy wiatr. Nagie gałęzie olbrzymiej płaczącej wierzby smagały moje plecy, kiedy mocowałam się z przerdzewiałym zamkiem bramy. W końcu zamek ustąpił, brama wydała z siebie jęk i nie stawiała już dłużej oporu.

O tej porze dom zaczynał wyglądać upiornie. Ciemne, drewniane gmaszysko, częściowo podmurowane, z ogromną czapą na górze. Ganki po bokach niczym rozpostarte ramiona potęgowały jego ogrom. Powitał mnie łomot niedomkniętej okiennicy na piętrze. Tej w niebieskim, dziecięcym pokoju z mebelkami z akacji. Odkąd Marta urosła, nie spało tam już żadne dziecko. Z opowieści sąsiadów wiedziałam, że letnicy omijali dom z daleka, tak ich przerażał. „Pani Natalio, o siedlisko niech się pani nie martwi. Żadna cholera tu się nie pokręci. Zofii się boją". Kto by przypuszczał, że to poczciwe domostwo dorobi się tak złej sławy.

Wyjęłam latarkę i przyświeciłam sobie drogę na ganek. Trzy szerokie stopnie, trzy metry i stałam przed dwuskrzydłowymi, dębowymi drzwiami. Gdzieś z oddali dobiegł mnie niespodziewanie głośny krzyk. Czy to z okolic altany w ogro-

dzie? Bażanty – uspokoiłam sama siebie. Otworzyłam ciężkie drzwi wejściowe. Powitał mnie mroczny chłód. Wszyscy, którzy tu żyli, dawno już poumierali. Nie czekała więc na mnie herbata przy nagrzanym piecu. Bez trudu wymacałam kontakt na ścianie. Lekko nim przekręciłam i w korytarzu błysnęło żółte, jak dla mnie trudne do zaakceptowania światło. Zaduch poczułam mimo zimna. Kto miałby tu wietrzyć, prać firanki, wymiatać kurze czy trzepać kapy z łóżek? Skierowałam się prosto do dużej kuchni. To tutaj tak naprawdę rozegrało się najwięcej dramatów mieszkańców tego domu. Kolejne pokolenia, niczym na scenie, odgrywały w tej kuchni swoje role. Pamiętałam Zofię siedzącą przy stole z rękoma zakrywającymi twarz. Jej przerywany szloch ranił moje serce. Rozpacz po stracie jedynej córki na zawsze zmąciła jej umysł. Odtąd babcia mnie przerażała. Chowałam się z rudym Frycem w niebieskim pokoju, a ona wołała, stukając w ściany kijem od szczotki. „Znajdę cię, Natalio! Wiem, gdzie się ukrywasz!". Leżałam pod łóżkiem wtulona w kota, wciśnięta w najdalszy kąt. Tylko Roman był w stanie mnie stamtąd wyciągnąć. „Chodź, Natalko, babcia Zosia wzięła swoje lekarstwo i usnęła". Przynosił mi gruszki i wabił nimi tak długo, aż wreszcie dawałam się skusić. Byłam pod wrażeniem, że nic się w tym miejscu nie zmieniło.

Ze stołu w pośpiechu uciekła mysz. Wzdrygnęło mną odruchowo. Tak, stary dom jednak nie do końca był opuszczony. Wiedziałam, że będę musiała zmierzyć się i z tym. Odwróciłam wzrok od stołu i spojrzałam na kredens Zofii. Tonął w kurzu. Na szybce w drzwiczkach mogłabym palcem napisać. „Oto jestem!" albo ra-

czej „Będę tu żyć?". Odruchowo odsunęłam szufladę, tę, w której zawsze można było znaleźć wszystkie podręczne rzeczy. To cud, ale nadal tu były. Wiekowe nożyczki, latarka na dużą, płaską baterię, zapałki, maść rozgrzewająca i stare, pokruszone tabletki z krzyżykiem. Osełka, śrubokręt, różowa szminka Zofii i portfel Romana. Wielokrotnie wyjmował z niego pieniądze i dawał mi „na rozpustę". Rozpustą był drobny, niekontrolowany wydatek, dokonany pod wpływem chwili. Tak Roman pragnął wynagrodzić mi brak rodziców. Uśmiechnęłam się na wspomnienie jego hojności. Ile królików wyhodował tylko na ten cel? Raz w geście miłości kupiłam mu fajkę, a Zofii korale. Piękny, długi sznur perłowych kulek. W domu przytulałam do nich swój policzek, tak bardzo mnie ekscytowały. Następnego dnia dziadek odniósł moje prezenty do sklepu i przywiózł z miasteczka „Anię z Zielonego Wzgórza". Czy tym faktem chciał mi uzmysłowić, że to ja byłam ważna? A może pragnął podarować mi przyjaciółkę, z którą mogłabym dzielić „swój świat", żeby realne życie mnie tak nie przerażało? Powiedział, że Zofii było już przecież obojętne, czy posiadała korale, czy nie.

Otrząsnęłam się ze wspomnień. Jak tu zimno! No tak, nie pomyślałam o tym wcześniej. W końcu był już listopad. Dom należało ogrzać, jeśli nie chciałam umrzeć z wyziębienia od razu tej pierwszej nocy. W wiklinowym koszu leżało parę szczap drewna, zdecydowanie za mało. Roman zawsze przechowywał opał w drewutni. Wątpiłam, by po jego śmierci przetrwało tam cokolwiek oprócz myszy. Gospodarcze budynki stały w głębi podwórka. O tej porze to ponura wyprawa. Tym bar-

dziej, że z drewutnią czas obszedł się okrutnie. Dach musiał się zawalić którejś z ostatnich zim. Wyłamane drzwi stały oparte o ścianę szopy. W kwestii opału niewiele się pomyliłam. Z tego, co tam znalazłam, mogłam mieć korzyść przez dwa, góra trzy dni. Załadowałam drwa do dwóch koszy. Mój czarny, wełniany, zimowy płaszcz ucierpiał na tym okrutnie. To nie był strój do takich zajęć. Refleksja przyszła niestety po czasie. Skupiłam się już tylko na tym, żeby rozpalić upragniony ogień. Rozejrzałam się po kątach za jakąś podpałką. W spiżarce leżał stos makulatury przewiązanej grubym sznurkiem. Tę paczkę zrobił Roman jeszcze za swojego życia. Miałam wrażenie, że ciągle był w tym domu. Wydawało mi się, że zawoła mnie zaraz i zruga za moją nieudolność.

Wyjęłam z paczki starą „Trybunę" i nareszcie rozpaliłam w kuchni węglowej. Dymiło się strasznie, a moje miastowe oczy nie były na to odporne. W całym pomieszczeniu zrobiło się tak siwo, że musiałam szybko otworzyć okno. To z ciągiem było coś nie tak. Tylko tyle zapamiętałam z dzieciństwa. Potem już żyłam wygodnie. Nie paliłam w piecach. Dym, zamiast do komina, całymi kłębami wydostawał się na kuchnię. Gryzł mnie w gardle i szczypał w oczy. Wycierałam łzy rękawem i krztusiłam się, kaszląc. Postanowiłam zrobić konkretny przeciąg i sama ewakuować się z zadymionej przestrzeni. Na dworze zapadła już noc. Zaskoczyła mnie ta niesamowita cisza i to przedziwne, lecz niespodziewanie miłe poczucie całkowitej izolacji od reszty świata. Tylko te olbrzymie drzewa szumiały gdzieś nade mną, i od czasu do czasu stukająca okiennica zakłócała nocny spo-

kój. Zostałam na ganku. Już wiedziałam, że dzisiaj nie napiję się herbaty wpatrzona w płonący ogień. Nie powspominam, nie popłaczę z żalu za tymi, którzy dawno odeszli. To był jednak głupi pomysł przyjeżdżać tutaj na noc – myślałam. Ostatecznie zadecydowałam, że noc spędzę w samochodzie, od czasu do czasu włączę ogrzewanie i nawet posłucham radia.

Natychmiast poczułam ulgę. Koniec wietrzenia! Zamknęłam drzwi na klucz i przygotowałam sobie posłanie w audi. Pamiętałam o tym, żeby na siłę odrzucać negatywne scenariusze. Wielokrotnie powtarzałam sobie w myślach, że to był w końcu mój wybór, że nie jest tak źle i że z czasem poradzę sobie z tym domem. Może nawet i z życiem. Zacznę od jutra, rano. W końcu zaplanowałam, że znów będę spać, cieszyć się i funkcjonować jak człowiek. Z radio popłynęła przyjemna muzyka, a ja zamknęłam oczy, ale sen nie przychodził. Nie chciałam sięgać po tę cudownie skuteczną tabletkę. Pierwszej nocy w tym miejscu wolałam być czujna. Nawet za cenę koszmarnego przemęczenia. W końcu mogłam spać w dzień. Nie, w dzień postanowiłam przysposobić dom do zamieszkania. Wyczyścić całą kuchnię, po stokroć potraktować wrzątkiem kuchenny stół i zaplanować, gdzie urządzę swoją sypialnię. Ze względu na ciepło to raczej gdzieś na parterze. Sercem tego domu była duża węglowa kuchnia z ogromnym zapieckiem. To był tron mojego Fryca. Jeśli umiejętnie napaliło się w tej kuchni, to ciepło rozchodziło się po całym domu. Na moje szczęście pod koniec swojego życia Roman zrobił centralne ogrzewanie, a jego źródłem zasilania było to nieszczęsne, kuchenne palenisko. Właśnie na central-

nym zatrzymał się tutejszy postęp. Nie miałam dużych wymagań, oby tylko woda nadawała się do użytku. Trzeba dokupić u leśniczego opał i poradzę sobie – rozmyślałam. W końcu tylu moich przodków tu żyło. Nie byłam pierwszą samotną kobietą w tym domu. W powojennej Polsce Zosia spędziła tu bez rodziny kilka długich lat. Dziadek długo nie wracał z przymusowych robót w Niemczech. Głód, strach, szaber i czerwony terror. Moja dola była bez porównania lepsza, ja nie musiałam przynajmniej cierpieć z głodu. Nikt nie groził mi śmiercią. Nie wyciągał nocą z łóżka, nie wsadzał głowy do wiadra z lodowatą wodą. Musiałam jedynie poczekać na wezwanie z sądu. Rozwód to nie koniec świata.

Tak, to ciągle tak żywo bolało. To dlatego tutaj przyjechałam. Zdecydowałam, że w tych spartańskich warunkach szybciej wezmę się w garść. Będę musiała skupić się na codziennym przetrwaniu i być może to wreszcie oderwie moje myśli od ostatnich wydarzeń. Do tej pory tylko rozpaczałam i użalałam się nad sobą. Tutaj szybciej zamierzałam się wyrwać ze szponów rozwodowej depresji. Od wielu dni wmawiałam sobie, że właśnie to będzie dla mnie najlepszą terapią. Zamknęłam oczy, a wspomnienia wracały jak każdej bezsennej nocy. Nie wiedziałam kiedy w końcu przestanę przeżywać tamten majowy wieczór. W zasadzie, tak naprawdę to nie było takiego dnia, żebym o tym nie myślała...

Wiktor tak długo nie wracał z pracy. Absolutnie nie przychodził mi do głowy żaden logiczny powód dla którego tak właśnie miałoby być. Nie pamiętałam, żeby miał jakieś umówione spotkanie lub inne zaplanowane zajęcia. Mijały godziny, a ja mar-

twiłam się coraz bardziej. Czy coś się stało? Gdy dzwoniłam, odrzucał moje połączenia, co jeszcze bardziej mnie niepokoiło, aż w końcu jego telefon całkowicie zamilkł. Próbowałam to sobie jakoś tłumaczyć i nawet na siłę zasnąć, ale w tej sytuacji było to w ogóle niemożliwe. Włączyłam telewizor, wzięłam kolejny prysznic, zjadłam jogurt, lecz to wszystko na nic. Jakaś niewiadomego pochodzenia siła stawiała mnie do pionu. Później wielokrotnie zadawałam sobie pytanie, czy to było przeczucie? W końcu uwierzyłam, że tak, to było właśnie to. Ten siódmy kobiecy zmysł. Około dwudziestej drugiej krążyłam już po całym domu, aż nie mogłam dłużej tego znieść i wtedy zwyczajnie postanowiłam pojechać do firmy męża. Musiałam sprawdzić, czy wszystko z nim było w porządku.

Była bardzo ciepła noc. Taka, podczas której młodzi ludzie chętnie wychodzą na ulice. Uśmiechnęłam się na ten widok rozczulona. Młodość miałam już za sobą. To niepowtarzalny etap w życiu, czas na dobry start. Szkoda, że zrozumiałam to dopiero wtedy, gdy zaczęłam się starzeć.

Zaparkowałam naprzeciwko biurowca, w którym pracował Wiktor. Z wielkim niepokojem odkryłam, że w oknach nie paliło się ani jedno światło. Rozejrzałam się dookoła i z bijącym sercem odnotowałam na parkingu obecność jego samochodu. Wiktor tu był! Zadzwoniłam więc ponownie na jego komórkę. Abonent ciągle niedostępny. Zgasiłam silnik i postanowiłam zaczekać. Nie miałam w zwyczaju szpiegować męża. Dlatego powoli wątpiłam w sens tego, co robiłam, a mimo to nie mogłam ruszyć się z miejsca. Pogrążona w tej szalonej, wewnętrznej wal-

ce tkwiłam tak prawie do północy. Tamtego wieczoru w mojej głowie wielokrotnie przewijały się myśli: Co jeśli zwyczajnie zepsuł mu się samochód? Ktoś mógł go odwieźć po pracy i może już od dawna jest w domu? Tylko dlaczego on mnie nie szuka? Zdecydowałam, że skoro jestem tu tyle czasu, to jeszcze chwilę poczekam. Co mi szkodziło?

Takie szczeniackie zagrywki po dwudziestu paru latach małżeństwa? Mimo, że przecież nikt nie kazał mi tam stać, poczułam się tym faktem wręcz upokorzona. Powinnam zwyczajnie zadzwonić, a Wiktor powinien odebrać telefon ode mnie. Wszystkie problemy zazwyczaj wynikają z niedomówień. Byłam przecież dorosłą kobietą, więc czemu zachowywałam się jak nastolatka? Moje serce przestało bić w chwili, gdy po drugiej stronie ulicy zobaczyłam swojego męża. Nie był sam. Obejmował w pasie długonogą, ciemnowłosą, młodą dziewczynę w jasnej spódniczce mini. Zatrzymali się obok jego samochodu. Tak swobodnie zarzuciła mu ramiona na szyję, a wtedy on namiętnie ją pocałował. Wiedziałam, jak smakował ten pocałunek, jak potrafił zelektryzować i pozbawić resztek rozumu. Wiedziałam też dlaczego ona tak radośnie się roześmiała. Oparta o maskę samochodu bezwzględnie władała moim mężem. Bezradnie patrzyłam jak wsiedli do mazdy i po prostu odjechali. W pierwszej chwili pomyślałam, że ona jest w wieku naszej Marty. Potem, że miałam zwyczajne halucynacje. Potem już tylko strasznie płakałam. Wróciłam do pustego domu.

Mój mąż mnie zdradza? Tak to właśnie wyglądało. I co teraz? – pomyślałam, pochylona nad muszlą klozetową. Stres wy-

wołał lawinę wymiotów. Nie wiedziałam, co powinnam teraz zrobić i dlaczego on mi to robił. Wiele razy spróbowałam się jeszcze do niego dodzwonić. Niestety, tej nocy nie był dla mnie osiągalny. Nie, to musi być jakieś banalne nieporozumienie! – buntowałam się przeciwko zaistniałej sytuacji. W życiu Wiktora coś się musiało wydarzyć, bo przecież nic nie dzieje się bez przyczyny. To wszystko na pewno da się jakoś wytłumaczyć – przekonywałam samą siebie. Do rana nie zmrużyłam oka. Tej nocy wielokrotnie umarłam i równie wielokrotnie odbudowałam swoje małżeństwo. Wiktor wrócił około piątej, było już jasno. Tak radośnie śpiewały ptaki. W końcu to maj! Zachowywał się wyjątkowo cicho. Postanowiłam do niego wyjść. Zawahałam się co prawda na moment, gdy ujrzałam własne odbicie w lustrze, ale trudno, nie chciałam grać przed własnym mężem. Był przecież częścią mnie samej. Powitał mnie „szczerym" uśmiechem w naszej designerskiej kuchni.

– Jaki z ciebie ranny ptaszek! Chcesz kawy, Natalio? – Uśmiech zniknął z jego twarzy, gdy tylko uważniej mi się przyjrzał. – Natalio, jak ty wyglądasz? Coś się stało? – Musiały go przestraszyć moje zapuchnięte od płaczu oczy i czerwony nos. Wyglądałam koszmarnie.

– Tak – odpowiedziałam i od razu, żeby się przypadkiem nie wycofać, postanowiłam przejść do konkretów. – Mówiłam ci o problemach Izy? Rozwodzi się. Pamiętasz? – Z trudem rozpoznawałam swój głos.

– Chyba tak – Zlustrował mnie wzrokiem, jednocześnie wyjmując z szafki moją nową filiżankę z ostatniej kolekcji Green Gate.

– A o Czarku na pewno też już słyszałeś? To w końcu nie jest dla nikogo żadna tajemnica, że jego żona ma kochanka. Mają takiego fajnego, pięcioletniego syna. Tak śmiesznie...

– Tak, wiem – przerwał mi zniecierpliwiony. – Co mnie to obchodzi? Nie mam teraz ochoty omawiać problemów innych ludzi – uciął zdecydowanie, a z ekspresu, wprost do ładnego naczynia, spłynął spieniony, aromatyczny płyn.

– Szkoda, bo ja przez całą noc zastanawiałam się, czy już przyszła kolej na nas? – Nie mogłam wręcz patrzeć na niego. Żal rozlał się po całej mojej duszy, a z moich oczu znów spływały łzy.

Przez chwilę milczał. Potem nerwowo wrzucił łyżeczkę do zlewu.

– Co to znaczy?! – Wybuchł. – Znów tracisz nad sobą kontrolę, bo mam urwanie głowy w pracy?!

Złość spowodowała, że zmarszczki wokół jego oczu stały się jeszcze bardziej widoczne. Pomyślałam, że w końcu miał za sobą nieprzespaną noc. Mimo tego, że tak bardzo dbał o wygląd, w naszym wieku nie służyło to i jego urodzie.

– Nie Wiktor, nie tracę kontroli, ale ty też masz kochankę. – To wyznanie pozbawiło mnie resztek sił. Poczułam ostry ból w piersiach. Usiadłam przy kuchennym stole. Jak zwykle odruchowo poprawiłam włosy spadające mi na twarz. W myślach błagałam go, żeby podał mi jakieś logiczne wytłumaczenie. Coś, po czym odetchnęłabym z ulgą. To dziwne, ale gdzieś w głębi serca pragnęłam, żeby mnie po prostu przytulił...

– Co ty bredzisz! – Ręce oparł na biodrach i mówił mocnym głosem. – Skąd w ogóle przyszedł ci do głowy taki poraniony

pomysł? Czy ty przypadkiem nie masz po prostu za dużo wolnego czasu?! – Coraz bardziej unosił głos. On na mnie krzyczał? W tej sytuacji? Zadrżałam.

– Proszę, nie zachowuj się tak. Ja na ciebie nie krzyczę. – Nie znosiłam, gdy dopuszczał się słownej agresji. – Posłuchaj, ja cię wczoraj z nią widziałam... – wyjawiałam przed nim prawdę. – Mój samochód był zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Byliście sobą tak zajęci, że nawet tego nie zauważyłeś. Wiktor, ty cały wieczór nie odbierałeś telefonu, więc...

– Oszalałaś? – Napuszył się. – To jakaś paranoja! Jak śmiesz mnie oskarżać?! – Był już naprawdę bardzo wzburzony. I tak przeraźliwie świdrował mnie wzrokiem. Zawsze myślałam, że kłamca nie potrafi patrzeć prosto w oczy, a jednak...

– Ja? Ja oszalałam? Dlaczego mnie okłamujesz? – spytałam zbolałym głosem. – Czy ty siebie w ogóle słyszysz? – Nie mogłam wprost uwierzyć, że on mógł powiedzieć coś takiego.

– Natalio, ogarnij się! A najlepiej idź do dobrego lekarza. Dobrze wiesz, że schizy to u was rodzinne. Nie wiem co tak naprawdę widziałaś lub co ci się wydaje, że zobaczyłaś. Niemniej chyba rozumiesz dokąd to prowadzi? – Patrzył na mnie tak, jak gdybym była poczwarką, a nie jego żoną.

– To nie w porządku. – Płakałam. – Wiktor, nie rób mi tego.

Stanął nade mną, ale nie tylko tym, lecz wręcz całą mową ciała, podkreślał swoją wyższość. Skuliłam się odruchowo, a w mojej głowie kołatała się tylko jedna myśl – jak to możliwe, że ktoś kogo kocham, jest dla mnie tak okrutny?

– Nie przyszło ci do głowy, że może to wcale nie byłem ja? –

Zadrwił, a był przy tym bardzo pewny siebie. – O tym w ogóle nie pomyślałaś, prawda? A teraz przyjmij do wiadomości, że jestem w tej chwili skupiony na własnych sprawach i nie mogę poświęcić ci więcej czasu. Wychodzę, a ty się poważnie nad sobą zastanów.

– Wiktor, zaczekaj! – Poderwałam się z krzesła i zawołałam za nim. – Powiedz mi prawdę!

Obudziło mnie zimno. Włączyłam silnik samochodu, otuliłam się szczelnie kocem. Która to godzina? Dopiero po pierwszej w nocy! Bolały mnie już wszystkie kości, a do rana było jeszcze daleko. W samochodzie wcale nie było mi tak wygodnie. Powinnam przenieść się do domu? – Zastanawiałam się. – Nie, tam dopiero jest strasznie zimno – odpowiedziałam sama sobie. – A co, jeśli w ogóle nie uruchomię tego ogrzewania? Nonsens, to banalnie prosta instalacja. Potrzebuję tylko kominiarza albo zduna. Kto wie, może ich obu? To w końcu mazowiecka wieś, takich tu bez liku. Jutro o tej porze będę leżała w ciepłym łóżeczku. – Dodawałam sobie otuchy.

Ponownie zamknęłam oczy. Przeszłość wracała mimo mojej woli... Wiktor ostro szedł w zaparte. Ciągle powtarzał, że podobnie jak moją babkę mogą mnie gnębić urojenia. Nieustannie nalegał bym poszła do lekarza. Po tygodniu momentami już sama zaczęłam wątpić w całą wartość swojego sposobu rozumienia świata. Nieoczekiwanie wyjechaliśmy we dwoje do Albanii. Plaża, wino, gorące noce, ekskluzywny hotel. Cóż... – pomyślałam pod koniec urlopu – ...oczywiście, że miał romans. Nie oszalałam tak jak Zofia, wiem, co widziałam. Trudno, stało się. Na rzecz

poprawnych, małżeńskich relacji, odmawiałam sobie racji. Każdy może się pogubić. Może on nie do końca wiedział co robi? – Tłumaczyłam go przed sobą. Może w ten sposób chciał odreagować zawodowy stres? Jemu na mnie zależy, tylko tak strasznie jest zaangażowany w swoją pracę... A może to wszystko moja wina? – Nieustannie się obarczałam. Za mało o siebie dbałam? Ostatecznie podjęłam decyzję, żeby dłużej nie eskalować konfliktu, a raczej go rozwiązać. Musiałam wymazać ten „epizod" z pamięci. Tym bardziej, że najwidoczniej zareagowałam w odpowiednim momencie. Teraz on próbował wszystko naprawić. Wiktor znów był cudowny. Szarmancki, czuły i pełen troski. Kupił mi niesamowite buty, podobno ręczne rzemiosło, i gorąco zapewniał, że bardzo mnie kocha. Oczarował mnie na nowo, nie powiem, żebym sama tego nie pragnęła. Nasze życie ruszyło z kopyta. W końcu zaczęliśmy znów uprawiać seks. Ja, żeby go zadowolić, przeszłam na naprawdę drakońską dietę, a on wracał wcześniej z pracy do domu i szczerze interesował się tym, co robiłam. Wszystkie moje znajome zazdrościły mi takiej harmonii w związku. A ja podziwiałam wyjątkową trzeźwość swojego umysłu.

Nasza rocznica ślubu przypadała na początek lipca. Tym razem postanowiłam zrobić z tego nie lada wydarzenie. Marta wręczyła nam dwadzieścia trzy bladoróżowe róże. Ucałowała nas oboje i wykrzyknęła, że ma najcudowniejszych rodziców. My wiedzieliśmy, że mamy piękną, idealną córkę. Imprezę urządziłam na świeżym powietrzu. Stół nakryłam pastelowym, kwiecistym obrusem i ustawiłam na tarasie, tam też odbywały się tańce. Świeczki, zanurzone w szklanych pojemnikach, wy-

pełnionych płatkami róż, stworzyły bajeczny nastrój. Mnóstwo białych kwiatów i miękkich poduch dopełniło całości. Dopisało wyśmienite grono naszych znajomych i nie żałowaliśmy pieniędzy na catering. Bawiłam się naprawdę dobrze. Tańczyłam tak, jakbym znów była na własnym weselu. Nie zamierzałam już nigdy więcej wspominać tamtego incydentu. Wiktor był mój. Tylko mój! Nieważne ile lat minęło. Ja się zestarzałam? Bzdura! Jeśli on był dla mnie wiecznie młody, to ja dla niego też. Miłość jest ponadczasowa, nie starzeje się. Na naszym weselu zatańczyliśmy z Wiktorem tango, czy mogłabym powtórzyć to teraz? – myślałam. Byłam absolutnie gotowa na tego typu wyzwanie. Miałam odpowiednie buty i odpowiedni nastrój. To będzie wydarzenie tego wieczoru – cieszyłam się. Tylko gdzie on jest? Wiktor znikł i nikt nie miał pojęcia, co się z nim stało. Beztroski nastrój wyparował ze mnie w trybie natychmiastowym. Sprawdziłam, w garażu nie było mazdy. Zniknęła też skórzana kurtka Wiktora, a jego telefon milczał. Choćbym nie wiem jak bardzo się starała, po moim wcześniejszym spokoju nie było już ani śladu. Zostawił mnie właśnie dzisiaj? Wymknął się ukradkiem bez podania przyczyny? Nie mogłam się doczekać końca imprezy. Goście zaczęli mnie uwierać jak tani but. Wiktor mnie okłamywał... Całe moje zaufanie do niego tak naprawdę umarło wtedy w maju i sama siebie oszukiwałam, że było inaczej. Moja pamięć błyskawicznie odtworzyła obraz młodej, długonogiej dziewczyny w mini. To wspomnienie jej sylwetki zmroziło moje serce. Z taką figurą wpędziłaby w kompleksy nawet lalkę Barbie, a cóż dopiero mnie. Zrozumiałam, że gdybym była na miejscu

Wiktora, nie porzuciłabym młodej ślicznotki dla żony po czterdziestce. Te wczasy, ta niby miłość między nami, czy to zwykły kamuflaż? Jakaś dziwna gra? Dlaczego? – Zastanawiałam się. – Ze względu na Martę? Niemożliwe, nasza córka była już praktycznie dorosłą kobietą. Dawno wyprowadziła się z domu. Tak, kochała swego ojca, ale tym bardziej by mu wybaczyła. Byli jak emocjonalne klony, doskonale potrafili się porozumieć.

Intuicyjnie wyczułam, że obok mnie coś się dzieje. Obudziłam się przestraszona. Był dzień. W szybę mojego audi pukała stara Dąbkowa, wlepiając we mnie swoje piwne oczy.

– Natalia! – Wrzasnęła, gdy tylko zorientowała się, że już nie śpię. – Ki czort cię tu przygnał?! Natalka moja! – zawołała radośnie.

Otworzyłam drzwi samochodu i wpadłam w przepocone ramiona starej przyjaciółki Romana. Ściskała mnie jak w imadle, nie mogłam złapać tchu. I wcale nie próbowałam. Odór potu o poranku nie był czymś pożądanym. Śliniła moje policzki i prawie unosiła mnie w górę. „Ma krzepę ta babcia" – przemknęło mi w myślach.

– Bój się Boga, tak spać! Dzieciaku, czemu nie przyszłaś do mnie? – krzyczała, wprost do mojego ucha.

– Pani Stasiu, późno tu zjechałam, nie wypadało mi pani budzić. – Usprawiedliwiałam się. – Ale bardzo się cieszę, że panią widzę. – Byłam naprawdę wzruszona. – I to w tak dobrym zdrowiu.

– Ale żeby w chałupie nie spać? – Ubolewała. – Co by Roman na to powiedział?! Bo chyba Zofii się nie boisz, co? – Nagle spoważniała.

Wyswobodziłam się z jej objęć.

– Nie, skąd taki pomysł? Dlaczego miałabym się jej bać? –

Zdziwiłam się. – Po prostu nie mogłam w piecu napalić, tak strasznie się dymiło, a w aucie jest ogrzewanie.

– Oj, nie mogłaś, bo kawki od lat w kominie gniazdują. – Ponownie się roześmiała. – Nic to, Natalko. Ty pewnie głodnaś? Chodź do mnie na jajecznicę, to w tem czasie Adaś od Zenków zajmie się twoim kominem. Powiem mu słowo po drodze. A palić ty masz czem? – Powątpiewała. – Przecie już jest ziąb. Na długo przyjechałaś?

– Niestety, opału w zasadzie tu nie ma – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Pomyślałam, żeby do leśniczego podjechać i kupić drewno.

– Oj tam zaraz kupić! Po co, skoro Roman las ci zapisał? Powiem ci, że inni się tam karmią. Wstyd kupować i przepłacać!

– Ja sama nie wytnę drzewa z lasu, a dużo mi go potrzeba. Na całą zimę.

– A co ty gadasz? Toż ty masz męża i córcię. Poradzą sobie tak długo bez ciebie? – Przyglądała mi się uważnie.

– Nie chcę tego przed panią ukrywać. Rozwodzę się – wyznałam. – Pewnie na wiosnę wyrok będzie. Pani Stasiu, a Marta to już studentka i nie mieszka z nami.

Moja sąsiadka splunęła zamaszyście na ziemię. Popatrzyłam na to z zaskoczeniem.

– Tfu! Wiesz, że to nie po Bożemu? – pytała, jawnie zgorszona. – Co Bóg złączył, tego człowiek nie może rozłączyć. Żoną ty jego jesteś, nie boisz się tego grzechu brać na swoje sumienie?

– Kochana Stasiu, pani jest dla mnie jak moja rodzina. Przecież to pani w dzieciństwie stawiała mi bańki i zaplatała francuskie